

dzi przez szukanie ułatwień, lecz tylko przez przekraczanie własnych słabości.

Dlatego odpowiedzią na kryzys pedofilski musi być „zero tolerancji” tak wobec sprawców, jak i wobec przełożonych, którzy te przestępstwa ukrywali. Zaś odpowiedzią na kryzys zderzenia się ze współczesnością musi być utwierdzenie własnej tożsamości. Kościół nie może pod pozorem zwalczania zła we własnych szeregach przyłączać się do tych, którzy chcą zwalczyć chrześcijaństwo. ■

Marcin Kędzierski

Ocenę sytuacji Kościoła w Polsce trzydzieści lat po transformacji i perspektyw jego dalszego rozwoju należy zacząć od małego rachunku sumienia. Piszę te słowa kilka dni po premierze filmu braci Sekielskich *Tylko nie mów nikomu*, więc pierwszym, co się narzuca, jest próba zmierzenia się z tym, co złe. Jak słusznie jednak w swoim niedawnym tekście wskazał Papież Benedykt XVI¹, nie jest to właściwa logika. W pierwszej kolejności, jak w dobrym rachunku sumienia, należy bowiem dostrzec to, co dobre. Dostrzec, podziękować i uwielbić Boga, który jest dawcą wszelkiego dobra. W ciągu ostatnich trzydziestu lat rozwinęło się wiele ruchów, wspólnot i inicjatyw religijnych – „modlitewno-charyzmatycznych”, formacyjnych, charytatywnych etc. Miliony ludzi wzięło udział w różnego rodzaju rekolekcjach. Rośnie odsetek *communicantes*, czyli osób regularnie przyjmujących Komunię Świętą. W wielu parafiach po-

wstają złożone ze świeckich Rady Duszpasterskie. Dynamicznie rozwija się „katolicki” rynek wydawniczy i medialny z ofertą dla każdego. Kwitnie katolicka edukacja, która przyciąga nie tylko osoby wierzące. Na tym fundamencie wciąż rodzą się powołania do małżeństwa i kapłaństwa, które stanowią znak obecności Boga w żyjącym Kościele.

Tak, jesteśmy Bogu winni wdzięczność za przeogromny dar wiary, którego udzielił i nieustannie udziela Kościołowi w Polsce. Wdzięczność ta powinna zaprowadzić nas jednak na kolana, bo tylko z tej perspektywy będziemy mogli zauważyć, jak bardzo tę łaskę marnotrawimy, ulegając złu w przeróżnej postaci.

Co zatem można zarzucić Kościołowi w Polsce? Po pierwsze, większość ze wspomnianych wyżej dzieł dzieje się często bez udziału Kościoła hierarchicznego. Polscy biskupi, nawet jeśli nie oczekują kultu wobec samych siebie (choć i takie przypadki się niestety zdarzają), to pozwalają na sytuacje, w których takim kultem są otaczani. Efekt jest łatwy do przewidzenia – wyniesieni ponad ziemię bardzo szybko tracą oni kontakt z rzeczywistością. Usłyszałem niedawno historię, która świetnie obrazuje tę patologię. Sercanin Józef Wróbel, który został biskupem pomocniczym w Lublinie, miał usłyszeć od swojego współbrata: „Józek, ja to ci nie zazdroszczę. Teraz to ci już nikt prawdy nie powie”. Tylko nieliczni hierarchowie potrafią wyrwać się z tego klerykalnego, było nie było, sztafażu. Mniejsza o to, czy i na ile ten horrendalny klerykalizm wypływa ze szczegól-

nej roli, jaką Kościół odgrywał w latach PRL. Ważniejsze jest, i tu trzeba przyznać całkowitą rację Papieżowi Franciszkowi, aby przebić tę klerykalną skorupę, która skrywa Kościół w Polsce w ciemnościach grzechu.

Po drugie, choć większości ze wspomnianych dzieł towarzyszą księża, nawet jeśli nie robią tego z łaski (a niestety tak się nierzadko zdarza), to często zatrzymują się tylko na tym, co absolutnie konieczne. Msza, dziesięć minut w konfesjonale, kilkanaście godzin katechezy, jakiś pogrzeb, godzinny dyżur w kancelarii parafialnej, dwa kazania w miesiącu, nie daj Boże opieka nad jakąś grupą przyparafialną. I ta nieszczęsna kolęda, kiedy ksiądz, zmęczony po kilku lekcjach w szkole, musi iść do ludzi i wraca na plebanie dopiero po dziewiętnastej (!). Oczywiście są księża, którzy wyłamują się z tego schematu, ale czyż nigdy się z nim nie spotkaliśmy? Znowu, podobnie jak w przypadku biskupów, nie jest to tylko ich wina. Tak zostali uformowani. Taki model został im przekazany przez starszych kolegów w trakcie formacji seminaryjnej czy w pierwszych latach posługi kapłańskiej na parafii. Kultura, którą można nazwać „należy mi się odrobina luksusu”, ma się doskonale. Wielu księży nie zdaje sobie nawet sprawy, że życie ich owieczek wygląda diametralnie różnie. Funkcjonują jak w serialu, w którym smakują życia – samochody, kosmetyki, modne ciuchy, elektronika, wykwintne alkohole, zagraniczne wczasy. Nie chodzi o to, aby wszyscy księża stali się pustelnikami. Nie chodzi też o to, aby zatopili

się w pustym aktywizmie. Chodzi raczej o to, że w kapłańskim życiu często brakuje modlitwy, postu i jałmużny, czyli w praktyce – nawrócenia. Jestem niesprawiedliwy i krzywdzący? Może, ale nie jestem w tym osamotniony. Nie zapomnę wywiadu, którego zaraz po swej nominacji na biskupa opolskiego udzielił „Gościowi Niedzielnemu” bp Andrzej Czaja, jeden z nielicznych hierarchów, który potrafił wyrwać się z klerykalnych kajdan. Stwierdził on wówczas, że jego podstawowym zadaniem jako nowego biskupa jest... ewangelizacja proboszczów.

Dochodzimy wreszcie do wiernych świeckich. Wymieniam ich (nas!) na końcu, co nie oznacza, że nasze winy i odpowiedzialność są mniejsze. Łatwo jest oskarżać innych – pysznych biskupów czy leniwych księży. Musimy jednak stanąć w prawdzie – nawet jeśli nie tworzymy klerykalnej kultury (choć niestety niektórzy obficie ją podlewają), to dajemy na nią ciche przyzwolenie. Wbrew pozorom nie dotyczy to wyłącznie tzw. „świętecznych” katolików, którzy traktują Kościół jak butik z dobrami ekskluzywnymi (chrzest, komunie, ślub, pogrzeb). Odpowiedzialność ponoszą też ci najbardziej zaangażowani, którzy wolą „robić” Kościół w rzeczywistości równoległej, obok parafii, w której trzeba się użerać z księżmi. Świetnie pokusę tę opisał Papież Benedykt XVI we wspomnianym już artykule – łatwiej jest budować nowy kościół, niż podjąć się trudu uzdrowienia Kościoła „założonego na fundamencie Apostołów i proroków”. Wystarczy zobaczyć, jak w Polsce kwitnie

ruch pentekostalny, który uciekając przed klerykalizacją, wyprowadza swoich członków na obrzeża, a nieraz nawet całkowicie poza struktury Kościoła.

Powyższa diagnoza jest z natury rzeczy bardzo wycinkowa. Katalog naszych win jest znacznie dłuższy. Chciałbym jednak wyraźnie podkreślić, że klerykalizm, nawet jeśli jawi się na pierwszy rzut oka jako źródło wszelkiego zła, jest jedynie opakowaniem, pod którym skrywają się znacznie poważniejsze problemy. Co więcej, klerykalizm jest też wygodną wymówką – „chciałbym, ale biskup”, „chciałbym, ale ksiądz proboszcz” etc. Gdybym miał wybrać najważniejsze źródła słabości Kościoła skrywane pod płaszczykiem klerykalizmu, wskazałbym dwa zjawiska: przyzwolenie na liturgiczne dziadostwo i zgoda na funkcjonowanie parafii w modelu przedsoborowym.

W przypadku liturgicznego dziadostwa znów muszę odwołać się artykułu Benedykta XVI. Wskazuje on, że głównym źródłem kryzysu Kościoła jest brak wiary. Jaki jest związek między brakiem liturgicznej wrażliwości a kryzysem wiary? W tradycji Kościoła istniało powiedzenie *lex orandi, lex credendi*, które mówi nam, że sposób przeżywania naszej wiary wpływa ze sposobu, w jaki celebруем liturgię. Co więcej, liturgia, jak wskazuje soborowa konstytucja *Sacrosanctum concilium*, to źródło i szczyt życia chrześcijańskiego. Jeśli wierzyć tym dwóm zasadom, obojętność wobec liturgii i sposobu jej sprawowania musi prędzej czy później prowadzić do tracenia właściwej miary w życiu. Widać

to wyraźnie w Europie Zachodniej, ale nie pocieszajmy się – widać to także u nas. Formacja liturgiczna zarówno księży, jak i świeckich kuleje. Liturgia staje się coraz częściej pustym i niezrozumiałym rytuałem, na dodatek dowolnie przekształcanym przez niektórych „postępowych” kapłanów. I nie jest to wyłącznie głos liturgicznego fundamentalisty – jeden z, moim zdaniem, największych współczesnych świętych polskiego Kościoła, ksiądz Jan Kaczkowski, który dał się poznać za sprawą heroicznych czynów miłości, wyraźnie wskazywał na znaczenie liturgii w swoim życiu. Jeśli nie troszczymy się o sposób sprawowania liturgii w naszych parafiach, jeśli nie przeszkadza nam liturgiczna wolna amerykanka, jeśli obojętna jest nam własna formacja liturgiczna, jeśli nie napominamy naszych kapłanów łamiących przepisy liturgiczne, nie dziwny się potem, że Kościół popada w kryzys.

Ktoś powie: „No dobrze, ale to ksiądz sprawuje liturgię, nie mam na to żadnego wpływu, bo nawet jak mu coś powiem, to i tak nie posłucha”. Tu przechodzimy do drugiego problemu, czyli przyzwolenia na funkcjonowanie parafii w modelu przedsoborowym. Model ten bazuje na założeniu, że parafia jest własnością proboszcza, a wierni zwróceni są ku niemu i są od niego całkowicie uzależnieni. Narzekamy na to, ale w gruncie rzeczy układ taki jest wygodny, bo realnie ściąga z nas jakąkolwiek odpowiedzialność. Od Soboru Watykańskiego II, a co najmniej od 1972 roku, kiedy opublikowano obrzęd

chrześcijańskiego wtajemniczenia dorosłych (*Ordo initiationis christianae adultorum*, OICA), mamy jednak do dyspozycji nowy model funkcjonowania parafii, który można zobrazować terminem „wspólnota wspólnot”. Podstawową zmianą jest modyfikacja logiki funkcjonowania parafii z dośrodkowej na odśrodkową (misyjną), co samo w sobie stanowi uderzenie w koncepcję Kościoła jako obłądzonej twierdzy wymagającej obrony. Co więcej, na co słusznie zwraca uwagę Papież Franciszek, wspólnota parafialna w tym modelu zarządzana jest w sposób kolegialny, nie tylko włączający wiernych świeckich, ale także „wymuszający” na księżach i osobach konsekrowanych prawdziwe życie wspólnotowe. Taki sposób życia Kościoła zwiększa jego przejrzystość i szansę na przeciwdziałanie złu w jego zarodku. Film braci Sekielskich wyraźnie pokazał bowiem, że „bracia w kapłaństwie” takiej wspólnoty nie tworzyli i między innymi dlatego nie podjęli działań, które mogłyby uchronić zarówno ofiary przestępstw pedofilskich, jak i ich sprawców. W rzeczywistości mieliśmy bowiem do czynienia z działaniami o charakterze mafijnym, których intencją było bardziej egoistyczne (i wygodne) ratowanie wizerunku instytucji niż wymagająca ofiary troska o zbawienie drugiego człowieka.

Czy da się zmusić proboszczów do zmiany modelu funkcjonowania „podstawowych komórek” Kościoła? Zapewne jest to niezwykle trudne – zresztą nie znam parafii, która funkcjonowałaby w pełni w oparciu o ten nowy model (na margine-

sie – chętnie poznam!). Trudne nie oznacza jednak niemożliwe. Prymas Wyszyński, sprzeciwiając się zcentralizowanemu modelowi finansowania Kościoła, mawiał, że tak długo, jak wierni utrzymują finansowo księży, tak długo będą mieć na nich wpływ. Kupujmy sobie przyjaciół niegodziwą mamoną. Pokażmy kapłanom, że ich byt ekonomiczny zależy od wspólnoty, że nic im się nie należy „z góry”. Jeśli my, wierni świeccy, na poważnie zmienimy swoje podejście do Kościoła i zadamy zarówno o nasze parafie, jak i liturgię, wiele problemów rozwiąże się samych. Zgoda, pozostaną zasklepieni w klerykalizmie biskupi, ale prędzej czy później odejdą oni na emeryturę, a ich miejsca zajmą księża rozumiejący istotę swojego powołania.

Podsumowując, powyższe rozważania prowadzą mnie do krótkiej odpowiedzi na pytania zadane przez redakcję „Christianitas”.

Tak, jeśli nie pójdziemy zarysowaną wyżej drogą, czeka nas jeszcze poważniejszy kryzys. Czy powtórzymy scenariusz irlandzki? Szczerze mówiąc, wątpię w to, bo funkcjonujemy w zdecydowanie innym kontekście, co jednak szczególnie mnie nie pociesza.

Nie, ostatnie trzydzieści lat nie były ani walką o byt, ani czasem cieplarnianego bezpieczeństwa, co jednak spowodowało kryzys życia liturgicznego i parafialnego, a na dodatek ryzyko utraty młodego pokolenia kobiet dla Kościoła.

Nie, Kościół hierarchiczny nie będzie w stanie zareagować na kryzys i zreformować Kościoła w Polsce. Co prawda cze-

ka nas długotrwała „wymiana elit”, ale los Kościoła będzie zależeć od tego, na ile my, wierni świeccy, kobiety i mężczyźni, będziemy zdeterminowani, aby wziąć za niego odpowiedzialność. ■

Ks. Dariusz Kowalczyk

1

Kościół w ciągu dwóch tysięcy lat przechodził różne „rewolucje”. Dlatego nie podobą mi się retoryka, która sugeruje, że oto mieliśmy wieki rozkwitu i stabilności Kościoła, a teraz, po Soborze Watykańskim II, mamy straszliwy kryzys, sekularyzację i pedofilię. Nasuwa się pytanie: Skoro jest tak źle, to kiedy było tak świetnie? Czy w drugiej połowie I tysiąclecia, kiedy narodził się, a potem rozprzestrzenił islam, niszcząc kwitnące niegdyś ośrodki chrześcijaństwa? Czy może na początku II tysiąclecia, kiedy dokonywał się rozłam pomiędzy Wschodem i Zachodem Kościoła? A co działo się w wiekach poprzedzających reformację?

W XIII wieku Wilhelm z Auvergne wołał wzburzony: „Któż by nie zadrżał ze strachu na widok Kościoła będącego w stanie takiego zdziczenia i okropności, że każdy, kto na to patrzy, martwieje z przerażenia. Widząc tak straszliwe jego zezwolenia, każdy nazwałby go prędzej Babilonem niż Kościołem Chrystusa”. A spalony przez inkwizycję w XV wieku Savonarola rzucał gromy na duchownych: „Wszystko w Kościele jest zrujnowane. Prałaci nie odróżniają dobra od zła, prawdy od kłamstwa. Dziś w kościołach

wszystko robi się dla pieniędzy”. Spójrzmy na pierwszą połowę XX wieku. Rewolucja bolszewicka, I i II wojna światowa ze wszystkimi ich okropieństwami w masowej skali. Czy można stwierdzić, że wtedy Kościół się liczył, a teraz został zepchnięty na margines? Czy Kościół w Polsce był naprawdę taki mocny w czasach PRL-u? Miliony dokonywanych aborcji i plaga alkoholizmu z jednej strony, a z drugiej wielka ilość księży uwikłanych w różne formy współpracy z esbecją – raczej o tym nie świadczą. A że myśleliśmy wtedy, iż tacy szlachetni bohaterowie jak Wałęsa z Matką Boską w klapie i ks. Jankowski prowadzą nas do zwycięstwa, nie świadczy, że było świetnie, tylko że byliśmy dosyć naiwni. Nie przypominam tego wszystkiego, by bagatelizować zagrożenia, jakie pojawiły się po 1968 roku, w tym rewolucję seksualną z ruchem LGBTQ na czele, która niszczy społeczeństwa i Kościół. Mógłbym się nawet zgodzić z tym, co powiedział francuski dziennikarz Geoffroy Lejeune, a mianowicie, że „historię ostatniego stulecia można by streścić: masowa dechrystianizacja prawie całego Zachodu, głównie w Europie, gdzie w ciągu kilkudziesięciu lat zniszczono to, co budowane było przez piętnaście wieków”. Takie skrótowe wypowiedzi wymagają jednak doprecyzowania, a zarazem szerszej perspektywy. A w szerszej perspektywie nie były przesadą słowa, z jakimi zwrócił się do Benedykta XVI dziennikarz Peter Seewald: „Wasza Świątobliwość jest najpotężniejszym papieżem wszystkich czasów. Nigdy wcześniej Kościół katolicki nie miał